

Józef Bachórz

Nareszcie jest!

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 3 (45), 95-102

1997

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Roztrząsania i rozbiory

Nareszcie jest!

Jest więc – po ćwierćwieczu oczekiwania, czyli po okresie, w ciągu którego dzieci pierwszych zainteresowanych mogły już pokończyć studia – *Romantyzm* w renomowanej serii „Wielka Historia Literatury Polskiej”, ukazującej się pod patronatem Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk¹.

Jest – i co najważniejsze: merytoryczną zawartością wykładu oraz jego klasą retoryczną przynosi nie lada satysfakcję tym, którzy nie tracili nadziei na rzetelne *opus magnum* o epoce „wielkoludów”. Na dodatek otrzymał – co także chciałbym docenić – bardzo dobre wiano od nakładcy. Prawda, że ostatnimi czasy w tej serii wychodzą staraniem Wydawnictwa Naukowego PWN księgi należycie wyposażane, jednakże upewnienie się, że i *Romantyzmowi* na drogę do czytelnika została dana wyprawa stosowna – cieszy. Zalety „treści i formy” tekstu miałem być sposobność poznać wcześniej, w wersji maszynopisowej przed publikacją, powtórna zatem lekturę mogłem poprzedzić nieśpiesznym degustowaniem, od obwoluty i oprawy poczynając, pięknej książki. Mogłem cieszyć więc oko urozmaiconym liternictwem druku, wyrazistością żywej paginy, kompozycją kolumn z ilustracjami czarno-białymi, doborem tych ilustracji i ich liczbą (ponad 350!), a na wkładkach z 17 obrazami barwnymi – podziwiać niezawodność techniki reprografii-

¹ A. Witkowska, R. Przybylski *Romantyzm*, Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN 1996, wydanie pierwsze, wyboru ilustracji dokonał S. Gąssowski, *Noty biograficzne i Wskazówki bibliograficzne* opracowała I. Jarosińska.

cznej, o której jeszcze dziesięć lat temu w edycjach prac o literaturze można było tylko marzyć. Już przywykliśmy (do dobrego nawyku się pędkiem), że solidność książki trwałego użytku i jej powaga nie musi być siermiężnie zgrzebna lub pocziwie flanelowa – że może być szykowna – ale przecież każdy kolejny przykład zakorzeniania się pożądanego obyczaju wart jest odnotowania.

Ponowne przeczytanie *Romantyzmu*, już w kształcie gotowej *editionis primae* utwierdza mnie w przeświadczeniu, którego nabrałem poprzednio: to pasjonująca lektura. Pasjonująca – mimo że nie towarzyszyło jej tego rodzaju zaciekawienie „niewiadomymi”, jak przy kontakcie sprzed szlifów finalnego i mimo że także w tamtej wersji znajdowały się partie wywodu najzupełniej spodziewane, a nawet spodziewane w taki sposób, że gdyby ich zabrakło lub okazałyby się radykalnym przeinaczeniem przewidywań czytelniczych, to by się trudno było oprzeć za kłopotaniu lub/i doznaniu zawodu.

Rzecz przede wszystkim w tym, że duet autorski *Romantyzmu* utworzyli badacze znani, uznani i szanowani za liczne prace o literaturze pierwszej połowy XIX wieku, czyli uczeni bezspornie przygotowani do stworzenia syntezy. Od lat obcowaliśmy z ich książkami i uczyliśmy się z nich, bo mieliśmy powody liczyć je do kanonicznej klasyki współczesnego piśmiennictwa literaturoznawczego. Nie można dzisiaj uważać się za normalnie wykształconego polonistę, jeśli w czasie studiów lub pracy nauczycielskiej w liceum nie przeczytało się ani jednej z szeregu takich książek, jak *Rówieśnicy Mickiewicza* (1962), *Kazimierz Brodziński* (1968), *Stawianie, my lubim sielanki...* (1972), *Mickiewicz. Słowo i czyn* (1975), *Wielcy romantycy polscy. Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid* (1980), *Wielkie stulecie Polaków* (1987) czy *Towiańczycy* (1989) Aliny Witkowskiej – albo nie zna się ani *Klasycyzmu, czyli Prawdziwego końca Królestwa Polskiego* (1983), ani prac o utworach Słowackiego, ani *Słowa i milczenia Bohatera Polaków. Studium o „Dziadach”* (1993) Ryszarda Przybylskiego. Ryszard Przybylski wspomnianym *Klasycyzmem* upomniał się o zmianę myślenia na temat porobiorowej literatury przedromantycznej, proponując jednocześnie jej oryginalną wizję całościową. Alina Witkowska znakomitą *Literaturą romantyzmu* (1986) przekonała nas do swoich konstatacji i hipotez syntetycznych, a nadto zdawała się sygnalizować, że bliski jest kres kwestii autorstwa tomu romantycznego dla serii „Wielka Historia Literatury Polskiej”. Skoro zaś niebawem wzięła na siebie z górą 3/4 ciężaru tego autorstwa, to czyż nie powinna była (jeśli nie zaistniały jakieś powody do rewizji nadzwyczajnej) ocalić jak najwięcej z koncepcji już przemyślanej i sprawdzonej, a w wielu szczegółach dopracowanej? I czyż Ryszard Przybylski nie powinien był – po swojej monografii

„prawdziwego końca Królestwa Polskiego” – powtórzyć argumentów za rehabilitacją literatury dziewiętnastowiecznej sprzed debiutu Mickiewicza?

Naturalnie: spodziewania zawartości podręcznika w większej mierze mogły dotyczyć tych rozdziałów, w które autorzy inwestowali badaniami własnymi i publikacjami już nam znanymi, w stopniu zaś znikomym rozdziałów, które Alina Witkowska napisała o epistolografii romantycznej, pamiętnikarstwie doby romantyzmu, literaturze dla młodego odbiorcy i pierwszych syntezach literackich. Z reguł przestrzeganych w „Wielkiej Historii Literatury Polskiej” wynikało, że charakterystyczne dziedziny twórczości spoza naczelnego repertuaru gatunków danej epoki powinny mieć „reprezentację” w syntezie. Można się było liczyć z tym, że w *Romantyzmie* znajdą się obrazy kilku *specialités*, nie nazbyt dotychczas spenetrowanych przez badaczy. I znalazły się. Znalazły się jednak w takim kształcie, który zdumiewa rozmiarami preparandy wyłaniającej się zza każdego akapitu. Rozdziału np. o pamiętnikarstwie nie umiem sobie wyobrazić bez wielkiej pracy studyjnej, którą Alina Witkowska najniewątpliwiej wykonała, choć nie spożytkowała jej dotąd w innych publikacjach.

Otrzymujemy zatem *Romantyzm*, który przekazuje nam syntetyczną wiedzę o prądach, dziedzinach twórczości, sporach literackich, pisarzach i dziełach – wysnutą z solidnej pamięci autorów o własnych ustaleniach wcześniejszych lub wywiedzioną z badań najświeższych, na użytek tej właśnie syntezy wykonanych, a także wyprowadzoną ze skrupulatnej orientacji w piśmiennictwie z dawnych i nowych warsztatów innych historyków literatury. Fascynujące jest w związku z tym śledzenie w tej księdze – sposobów panowania nad natłokiem materiału erudycyjnego i zasad selekcjonowania „przedmiotu”, czyli literatury siedemdziesięciolecia 1795-1863. Było też przeżyciem ponawiającym się przy kolejnym przystawaniu nad zdaniami, przecież już raz czytany, odnajdywanie znaczeń poprzednio przeoczonych lub odkrywanie w gąszczu informacji (a gęstwa to ogromna) niejednej „wieści” sprzed półtora wieku, o której miałem wyobrażenie mgliste lub uproszczone. Doceniłem więc dopiero teraz (ale przykładów analogicznych miałbym niemało) głos Aliny Witkowskiej do wizji przełomu romantycznego, sformułowaną we fragmencie o *Rusałkach* Józefa Bohdana Zaleskiego (s. 219-221). Przełomu, który zazwyczaj rozpatrujemy poprzez utwory Mickiewicza, Malczewskiego i Goszczyńskiego, a w którym autorka sygnalizuje możliwość także i nuty młodzieńczo-radosnej, sfumionej jednak wnet przez powstanie listopadowe.

Lekcją stale i od nowa niezwykłą jest dla mnie w *Romantyzmie* smakowanie polszczyzny dyskursu historycznoliterackiego: u obojga auto-

rów niezawodnej w celnym i ścisłym nazywaniu pojęć, a zarazem zamóżnej w słowa i zwroty niezszarzałe, nielekliwej stylistycznie, czulej na odcienie sensów i emocji i na dwa różne sposoby – bo inaczej przez Ryszarda Przybylskiego, a inaczej przez Alinę Witkowską – asekurowanej od sąsiedztwa z monotonią czy nudą. Nie mam wątpliwości, że to kunszt przedni pisarstwa naukowego. I co ważne – pisarstwa wolnego od mentorskiej dydaktyki i apodyktycznego tonu. Pisarstwa sugestywnego – a przecież „na każdym miejscu i o każdej dobie” skłonnego do debaty z czytelnikiem.

Przy dobieraniu i ekspozycji materiału z epoki tak zasobnej w dobra literackie wchodzą w grę nieustannie – oprócz decyzji bezspornych – rozstrzygnięcia dyskusyjne. Nie mogło być zabraknąć w części pierwszej (przedromantycznej) podręcznika, napisanej przez Ryszarda Przybylskiego, na przykład późnej twórczości Krasickiego i Trembeckiego, *Mazurka Dąbrowskiego* i *Grenadiera-filozofa*, porozbiorowych kart Staszica i Niemcewicza, pisarstwa Woronicza i Brodzińskiego, *Barbary Radziwiłłówny* Felińskiego, pism Koźmiana i Morawskiego, powieści Hoffmanowej, Czartoryskiej-Wirtemberskiej, Bernatowicza, Kropińskiego i Skarbka – i nie zabrakło. W obrazie właściwego romantyzmu nie powinno być zabraknąć ekspozycji szczególnej „wieszczów” i Fredry – i Alina Witkowska zapewniła im plan główny w tym obrazie, dbając zresztą o sprawiedliwy „przydział” miejsca i dla innych wybitnych poetów czterdziestolecia romantycznego, a o pomniejszych także nie zapominając. Tak więc zarówno „ekspozycja jak i reprezentacja” nazwisk w *Romantyzmie* może zadowolić i poszukiwacza wiedzy podręcznikowej o arcydziełach, i amatora „dziejów, co się śmiły”.

Z jednym wszakże wyjątkiem.

Jest nim brak, którego w części napisanej przez Ryszarda Przybylskiego nie umiałem sobie wytłumaczyć ani przy pierwszym, ani tym bardziej przy drugim czytaniu tej części: brak *Rękopisu znalezionej w Saragossie* Jana Potockiego. Przemilczenie naszej najwybitniejszej powieści tego okresu i jednej z najznakomitszych w całej historii powieściopisarstwa polskiego nie mogło przecież wynikać z tego, że została napisana po francusku (wszakże pisanie po niemiecku nie spowodowało wykluczenia Aleksandra Bronikowskiego z naszego terytorium literackiego). Nie dałoby się też usprawiedliwić na przykład przewidywaniem niedogodności konstrukcyjnych wykładu, nastawionego na pewien porządek ideowy, w którym Potocki domagałby się – być może – fragmentu dygresyjnego. Bez względu na to, jakie *fata* zawisły nad *Rękopisem* w obecnym wydaniu podręcznika, w wydaniu następnym nie powinno go zabraknąć.

Oczywiście: przeróżne dyskusje o zasadności wywołania określonego tytułu mniej wybitnego z ciszy archiwum, a pozostawienia tam jakiegoś innego – można by toczyć bez końca. Mógłbym się upominać o niejeden utwór, do którego wśród czytań prozy przedromantycznej i międzypowstaniowej przekonałem się, jak na przykład do *Powodzi* Bernatowicza albo do zbioru *Nie-bajki* Henryka Rzewuskiego (a w tym zbiorze do opowiadania *Ja gorę!*), czy do twórczości Narcyza Olizara – itp. W rozdziale o epistolografii konstatowałbym z odrobiną żalu nieobecność jakiegokolwiek wzmianki o listach Żmichowskiej. Bez końca można by też wieść „rodaków rozmowy” o niektórych interpretacjach dzieł znakomitych (zwłaszcza w części pierwszej, poświęconej klasycyzmowi i sentymentalizmowi porozbiorowemu) i zastanawiać się na przykład nad tym, czy rzeczywiście w *Sofiówce* Trembeckiego tkwi „żądło libertyńskiej rozpaczki wielkiego starego poety”? (s. 78).

Nie sądzę, by tego typu dyskusje były bezpożyteczne, ale i nie wierzę, by mogły prowadzić wyłączenie do ulepszenia tego, co w podręczniku zostało powiedziane. Książka tego gatunku nie powinna przecież być rejestrem wszystkiego, co się komu przypomni lub „co się komu w duszy gra”. Nie będę więc tutaj kontynuował katalogu detali, które nawięłyby mi się pod pióro, gdybym im dozwolił, chciałbym natomiast zatrzymać się przy sprawie moim zdaniem o wiele istotniejszej.

Chodzi mi o decyzję metodologiczną: schronienia pod romantycznym „dachem” całej przedromantycznej literatury porozbiorowej. Wprawdzie zdarzało się podobnie już i w przeszłości (Piotr Chmielowski przyłączył ten okres do dziewiętnastowiecznej epoki „literatury ogólnonarodowej²”), w zasadzie jednak lata 1795-1822 miawały w syntezach podręcznikowych status trochę podobny do sytuacji „dawnej świątyni” z sonetu Mickiewicza *Rezygnacja*:

Spustoszałej niepokod i czasów koleją,
Gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją.

² Zob. P. Chmielowski *Historia literatury polskiej* z przedmową B. Chlebowskiego. (Z ilustracjami), tom III, Warszawa 1899. Chmielowski – jak wiadomo – podzielił historię literatury polskiej na trzy epoki: epokę literatury kościelnej czyli średniowiecznej (do roku 1400), epokę literatury szlacheckiej (do roku 1795) i epokę literatury ogólnonarodowej (od roku 1796 do końca wieku XIX). Przypisanie lat 1796-1820 do całości dziewiętnastowiecznej uzasadniał tym, że choć przeważały w nich „klasycyzm francuski”, to jednak zrodziła się już idea, która na cały wiek XIX rozprzestrzeniła się wraz „z popularną pieśnią Józefa Wybickiego i tym podobnymi utworami”.

Nie miejsce tu na przypomnienie wszystkich zawiłych kolei losu „nie-wygodnego” ćwierćwiecza, które dzierżawili bądź to badacze oświecenia, bądź historycy romantyzmu, jedni i drudzy niekiedy skłonni do ogłaszania czegoś na kształt autonomii periodyzacyjnej lat 1795-1829 (1822)³.

Perspektywa takiej autonomii pojawiła się też w początkach prac nad „Wielką Historią Literatury Polskiej”, gdy Mieczysław Klimowicz zamykał *Oświecenie* na roku 1795 i stwierdzając nagłe przerwanie rozwoju kultury polskiej przez tragedię trzeciego rozbioru pisał:

Warto więc postawić pytanie, na które dotąd padają odpowiedzi sprzeczne i pełne wątpliwości, mianowicie – czy datę upadku państwa można uważać za umowną cezurę określającą koniec epoki oświecenia? W świetle ostatnich badań pogląd ten zdaje się zyskiwać coraz więcej przekonujących argumentów⁴.

Z tej ostrożnej diagnozy brała się równie ostrożna sugestia:

Wydaje się, że okres rozwoju literatury między rokiem 1795 a wystąpieniem Mickiewicza, stosunkowo mało dotąd zbadany, należałoby traktować jako okres osobny, o własnej problematyce i odrębnym charakterze. Wielki dorobek myśli i literatury oświecenia owocował nadal w tych latach, warunkując dalszy rozwój kultury polskiej, nie stanowił już jednak siły organizującej wyobraźnię narodową⁵.

Wyodrębnienie „nowego” okresu w dziejach literatury miałyby za sobą racje niebagatelne, ale stwarzałyby i niebagatelne problemy, od jego nazwania poczynając, a kończąc na kwestii równorzędności w szeregu, którego ogniwami są przecież takie „jednostki”, jak średniowiecze, renesans, barok, oświecenie i romantyzm. Wywołałoby też pytanie o sens mnożenia bytów periodyzacyjnych (i podręcznikowych) w odniesieniu do literatury dość odległej od naszych czasów.

Na tym tle „przygarnięcie” dwudziestopięciolecia porozbiorowego do podręcznika tytułującego się jako *Romantyzm* uważam za decyzję ważną – i od razu dodam: szczęśliwą. W słowie *Od autorów* motywacja połączenia „obydwu zakresów historii literatury” została streszczona jako wynik

³ Spośród badaczy romantyzmu taką tendencją kierował się J. Kleiner *Sentymentalizm i preromantyzm. Studia inedita z literatury porozbiorowej 1795-1822*. Wydał z rękopisu i opracował J. Starnawski, Kraków 1975. Spośród badaczy oświecenia pewien rodzaj odrębności tej fazy dziejów literatury przyznaje na przykład P. Żbikowski *Klasycyzm postanisławowski. Doktryna literacka*, Warszawa 1984.

⁴ Zob. M. Klimowicz *Oświecenie*, Warszawa 1972, s. 407.

⁵ Tamże, s. 409.

przeświadczenia o dominujących rysach wspólnych literatury porozbiorowej, wskazujących na ciągłość procesu historycznoliterackiego mimo różnic stylów, poetyk, gatunków. Zresztą – dodają autorzy – i w tym zakresie istnieje zjawisko przenikania się sposobów wypowiedzi artystycznej właściwych dla klasycyzmu i sentymentalizmu, dominujących po r. 1794, z romantyzmem, zwłaszcza w jego fazie początkowej. Wszystko, co działo się w literaturze porozbiorowej, stanowiło bowiem naturalną głębę romantyzmu pojętego jako kontynuacja, jako dialog i jako sprzeciw. [s. 7]

Znaczącą forpocztą omawianej tu decyzji był w *Literaturze romantyzmu* Aliny Witkowskiej rozdział pierwszy: *Sentymentalizm i klasycyzm lat 1795-1830. Główne gatunki*. Podtrzymanie tej decyzji, jej rozszerzenie i umocnienie w dziele, które może okazać się *alma mater* innych syntez, oznacza nie tylko osłabienie anatemy, nałożonej na klasycyzm przez romantyków w fazie ich szturm na parnas narodowy. Oznacza również zmianę myślenia o procesie literackim w XIX wieku. Dotąd przeważały w tym myśleniu kategorie skoków rewolucyjnych, spalonych twierdz i pozrywanych mostów. Akcent padał na protokoły rozbieżności. Teraz – być może – o przemianach wypadnie mówić nieco inaczej. Tak, jak w zakończeniu zdania przed chwilą cytowanego: nie tylko pamiętając o sprzeciwach, ale i o dialogach, i o kontynuacjach. Przygarnięcie całego czasu porozbiorowego sprzed *Ballad i romansów* do wspólnoty polskiego losu literackiego w wieku XIX nie spowodowało zacierania różnic. Sprawilo jednak, że przemiana kultury narodu – i to niematego narodu – przestaje się odbywać według mitycznego *obiit – natus est*. Scenariusz komplikuje się. Traci – pewno, że traci – na dogodności dydaktycznej, zyskuje jednak na adekwatności w stosunku do historii rzeczywistej. Prościej było komentować sobie Jana Śniadeckiego jako sklerotycznego starca z *Romantyczności*, a Koźmiana jako tępego cyzelatora tysiąca wierszy o sadzeniu grochu, obu razem spisując na straty w dziejach kultury. Nawet jeżeli czasami przekładało się to potem w praktyce dydaktycznej na zdumione pytania uczniów lub studentów, gdy przypadkiem odkrywali, że w *Panu Tadeuszu* Podkomorzy nazywa Śniadeckiego „mądrym bardzo człkiem, chociaż świeckim”, a Krasieński pisze wiersz *Do Kajetana Koźmiana*, pełen szacunku dla adresata.

Otóż z obecnego podręcznika czytelnik może się dowiedzieć, że Śniadecki i Koźmian mieli format intelektualny, którego nie godzi się lekceważyć, jeśli się nie chce zubożać naszej własnej historii literatury i dziejów myśli. I jeśli się nie chce odbierać formatu zwycięzcom (coż by to był za sukces: pokonać maniakałnych starców?), a także – jeśli się nie uważa podeptania pokonanych za warunek prawdziwego zwycięstwa. Wydaje mi się, że duet autorski Aliny Witkowskiej i Ryszarda Przybylskiego – nawet wtedy, kiedy miewa (a chwilami miewa) cha-

rakter *duellum* – dobrze służy mądrej wizji procesu literackiego. Takiej mianowicie wizji, w której dla uwydatnienia powagi okresu prezentowanego nie musi się amnezycznie przemilczać zjawisk poważnych – na przykład obaw nie przez samo tylko tchórzostwo dyktowanych i dokonanych literackich nie z samej tylko rutyny poczętych – w kulturze zmierzchu formacji poprzedniej. Może z tego wynikać, że nasz podziw dla romantyków i nasze dla nich uczucia niekoniecznie trzeba karmić wiarą w sto procent ich racji i poić niechęcią do klasycyzmu, podobnie jak późniejsza sympatia dla realizmu (gdybyśmy ją zamierzali żywić) nie będzie wymagała egzorcyzmowania ducha romantycznego, a nawet zbyt intensywnych utyskiwań na zmierzch i wieczór romantyzmu. W obrazie tego wieczoru i zmierzchu w ujęciu Aliny Witkowskiej jest przecież nie tylko Norwid i sporo dobrej poezji jego rówieśnych, nie tylko rozwój powieściopisarstwa, lecz także nietuzinkowe pamiętnikarstwo i publicystyka Klaczki... Byłoby nader pożytecznym seminarium literatury polskiej i opracowanie całych jej dziejów porozbiorowych aż do odzyskania niepodległości – na podobieństwo *Romantyzmu* Aliny Witkowskiej i Ryszarda Przybylskiego. Czyli opracowanie syntezy w jednym ciągu: bez zamazywania różnic, ale i bez tworzenia na każdym pograniczu takich zasieków w konwencji „my i wy”, zza których terytorium sąsiednie wygląda niczym krajobraz po bitwie. Syntezy, która będzie zakładała, że w naszej wyobraźni i w naszej pamięci jest dość miejsca na względy dla rozmaitych racji i dla różnych kształtów literatury.

Józef Bachórz

O Mroźku inaczej

O Mroźku, choć najwybitniejszym z polskich dramatopisarzy dwudziestego wieku, pisano stosunkowo niewiele – zwłaszcza prac gruntowniejszych. To jednak co napisano, Sugiera zna doskonale (także opracowania zagraniczne) i chętnie polemizuje¹. Już na początku swej książki rozwiązuje kilka problemów mroźkologii – być może definitywnie. Roztrząsa właściwy sens terminu „teatr absurdu” i umieszcza twórczość Mroźka „obok”, a nie – w tym teatrze. Jej zda-

¹ M. Sugiera *Mędrzek i cham inaczej*, Kraków 1996, Universitas.